

Tę historię opowiedzieli mi dwaj starcy. Siedzieliśmy wśród dymu ogniska rozpalonego dla ochrony przed moskitami. Dzień arktyczny pochłodził, była północ. Gawędząc, raz po raz ochoczo i zajadle tłukliśmy skrzydlate bestie, które przerwały się przez osłonę dymną, aby zakosztować naszej krwi. Na prawo, dwadzieścia stóp niżej, u podnóża osypującego się brzegu leniwie pluskał Yukon. Na lewo, ponad zielenią grzbietów niewysokich wzgórz, tliło się senne słońce. Nie zmrużyło oka tej nocy i długo jeszcze miało nie zaznać spoczynku.

Starcami, którzy siedzieli ze mną przy ognisku i walecznie uśmiercali moskity, byli Samotny Wódz i Mutsak, niegdyś towarzysze broni, a dziś zasuszone mumie – skarbnice plemiennej tradycji i dawnych dziejów. Ze starego pokolenia tylko oni dwaj ostali się przy życiu. Młoda generacja, wyrosła na najdalszym krańcu cywilizacji przyniesionej przez kopaczą złotą, nie szanowała starców. Któż by dbał o tradycję w czasach, gdy duchy można było wywołać z czarnych butelek, a czarne butelki jawiły się za sprawą uczynnych białych ludzi w zamian za parę godzin znoju lub jedno liche futro? Cóż znaczyły straszliwe obrządk i tajemne sztuki szamanów, kiedy co dzień ów żywy cud – statek parowy kaszlał i pluł sunąc tam i z powrotem po Yukonie na przekór wszelkim prawom natury, istny potwór ziejący ogniem? Co wreszcie warta była powaga przodków, jeśli ten, kto narąbał najwięcej drzewa lub najlepiej sterował statkiem parowym wśród labiryntu wysp, zyskiwał największy szacunek rodaków?

Prawdę powiedziawszy, moi starcy, Samotny Wódz i Mutsak, za długo żyli i kiepskich doczekali się czasów, a nowe porządki wyzuły obydwu z poszanowania współplemieńców i pozbawiły własnego kąta. Posępni starcy czekali tedy śmierci. Dziś jednak serca ich otworzyły się przed obcym białym człowiekiem, który wraz z nimi wędził się okrutnie w dymie i chętnie słuchał opowieści o dawnych czasach, kiedy jeszcze nie było parowego statku.

– A więc wybrali mi dziewczę na żonę – mówił Samotny Wódz. Jego głos, ostry i piskliwy, raz po raz opadał, gwałtownie w ochryplę, głuchy bas, a ledwie ucho się z nim oswoiło, wzbijał się na wyżyny dyszkantu – było to na przemian cykanie świerszcza i rechotanie żaby.

– Więc wybrali mi dziewczę – mówił.

– Bo mój ojciec, Kask-ta-ka, czyli Wydra, gniewał się na mnie. A gniewał się o to, że nie patrzyłem jak trzeba na niewiasty. Ojciec był sę-

dziwym wodzem plemienia. Ze wszystkich jego synów ja jeden zostałem przy życiu i tylko po mnie mógł się spodziewać, że jego krew przejdzie na tych, co się dopiero mieli urodzić. Trzeba ci jednak wiedzieć, biały człowieku, że byłem bardzo chory. Skoro zaś ani polowanie, ani rybołówstwo mnie nie cieszyło, a mięso nie rozgrzewało mi brzucha, jakże mogłem łaskawym okiem spozierać na niewiasty? Albo przygotować ucztę weselną? Albo co mnie obchodził szczebiot i psoty dzieciarni?

– Właśnie – wtrącił Mutsak.

– Bo czy Samotny Wódz nie walczył, gdy się znalazł w łapach wielkiego niedźwiedzia, aż mu głowa pękła i krew się z uszu polała?

Samotny Wódz dziarsko kiwnął głową.

– Mutsak prawdę mówi. Potem głowa mi wydobrzała, ale nie żeby była zdalna do czego. Bo choć się zagoiło i przestało boleć, to w środku chory byłem. Gdym chodził, nogi się pode mną uginały, a jakem spojrzał na światło, oczy napelniały się łzami. Otwieram oczy, a tu świat się kręci i kręci, zamykam – w głowie mi wiruje, wiruje. Wszystko, com w życiu swym widział, kotłuje mi się w głowie i kotłuje. Nad oczami bolało mnie okrutnie, jakby mi głowę czymś ciężkim przytłoczyli albo włożyli obręcz, ciasną i bolącą. Język mi stanął kołkiem w gębie. Długo musiałem czekać, nim odpowiednie słowo pojawiło mi się na wargach. A kiedy nie chciałem czekać, rozmaite słowa tłumnie cisnęły mi się na język i plotłem głupstwa. Bardzo byłem chory, gdy więc ojciec mój, Wydra, przywiódł mi dziewczynę imieniem Kasaan...

– Dziewczynę młodą i silną, córkę mojej siostry – wtrącił Mutsak.

– Mocna była w biodrach, dzieci mogła rodzić aż hej, ta Kasaan, a nogi miała strzeliste i chybkie. Żadna dziewczyna nie robiła takich mokasynów jak ona. Wyplatała też Kasaan najmocniejsze powrozy z łyka. Oczy jej się śmiały, uśmiech nie schodził z ust, nie była skora do zwady i dobrze wiedziała, iż mężczyźni stanowią prawo, a kobiety winne im są posłuszeństwo.

– Jak mówiłem, bardzom był chory – podjął znów Samotny Wódz. – Kiedy więc mój rodzic, Wydra, przywiódł mi Kasaan, rzekłem, iż snadniej by mi sprawili pogrzeb niż wesele. Na to ojcu twarz pociemniała z gniewu. Powiedział, że stanie się wedle mej woli i choć jeszcze zipię, otrzymam śmiertelną wyprawę należną nieboszczykowi...

– Co nie jest obyczajem naszego ludu, o biały człowieku! – wtrącił Mutsak.

– Trzeba ci wiedzieć, że to, cośmy zrobili z Samotnym Wodzem, obyczaj nakazywał czynić z umarłymi. Ale Wydra bardzo się rozgniewał.

– Właśnie – rzekł Samotny Wódz.

– Rodzic mój, Wydra, był człowiekiem, co mało mówi, a szybko działa. Nakazał więc, żeby lud zebrał się przed namiotem, w którym leżałem. Gdy wszyscy się tam zeszli, polecił, by opłakiwali jego syna, który nie żyje...

– Zaśpiewali więc pieśń żałobną: „O-o-o-o-o-a-haa-ha-a-ich-klukuk-ich-klu-kuk”.

– Mutsak wykonał żałobny lament tak udatnie, że litość mnie zdjęła i ciarki obleciały po plecach.

– W namiocie – ciągnął Samotny Wódz – matka moja umazała sobie twarz sadzą, głowę przysypała popiołem i zawodziła z żalu po mnie, jakbym już nie żył. Tak bowiem nakazał ojciec. Więc Okiakuta, matka moja, zawodziła wielkim głosem, biła się w piersi i rwała włosy. To samo robiły Honiak, moja siostra, i Seenatah, siostra matki. Darły się tak okropnie, że głowa mnie strasznie od tego rozboleła. Czułem, iż tylko patrzeć, jak skonam.

Starszyzna plemienia otoczyła mnie kołem i zaczęła rozprawiać o drodze, jaka czeka moją duszę. Jeden mówił o bezkresnych kniejach, gdzie zgubione dusze błądzą zalewając się łzami. Może i ja tam zawędruję i nigdy stamtąd nie wyjdę. Drugi opowiadał o wielkich rzekach, rwących i zdradzieckich, gdzie złe duchy wyją i wyciągają kikuty rąk, aby cię za włosy pociągnąć na dno. Ze względu na te rzeki muszę otrzymać czółno – chórem orzekli starcy.

Trzeci opisywał burze, jakich oko ludzkie nie widziało. Ulewa gwiazd spada z nieba, ziemia ziele czeluściami, a wszystkie rzeki występują z brzegów i pogrążają się w otchłani. Na te słowa ci, którzy siedzieli przy mnie, wzniesli ramiona i wszczęli lament, a ci, co byli na dworze, usłyszeli i dalejże biadać jeszcze głośniej. Jeśli dla nich byłem w tej chwili nieboszczykiem, sam nie uważałem się za żywego. Nie wiedziałem, kiedy i jak się to stało, ale nie miałem odrobiny wątpliwości, że już wyzionąłem ducha.

Okiakuta, moja matka, położyła przy mnie parka z wiewiórczych skórek. Potem dorzuciła parka ze skóry karibu, nieprzemakalny płaszcz z foczych jelit i mokasyny na deszcz, żeby mojej duszy było ciepło i żeby nie zmokła podczas długiej wędrówki. Następnie starcy wspomnieli o urwistym pagórku gęsto usianym cierniami i kolczastymi krzakami, na co matka przyniosła mi ciężkie mokasyny, aby mi się lepiej maszerowało.

Kiedy zaś opowiedzieli o strasznych zwierzach, które będę musiał zabijać, młodzieńcy położyli obok najmocniejszy mój łuk i najprostsze strzały, bojowy bumerang, włócznię i nóż. Starcy mówili teraz o mroku i ciszy wielkich obszarów, przez które moja dusza ma przewędrować, a matka zawodziła jeszcze głośniejsze i wciąż dosypywała popiołu na głowę.

Dziewczyna imieniem Kasaan, niema ze strachu, wśliznęła się do wigwamu i na rzeczy, które miałem zabrać na drogę, upuściła woreczek. Wiedziałem, że w tym mieszkku jest krzemień, kawałek stali i dobrze wysuszona hubka. Przydadzą się mojej duszy przy rozpalaniu ognisk. Wybrano też koce, w które będę odziany na drogę. I wybrano niewolników na rzeź, aby mi towarzyszyli w wędrówce. Było ich siedmiu, gdyż miałem bogatego i potężnego ojca, godziło się więc, by jego syn został pochowany z honorami. Wzięliśmy tych jeńców w wojnie z Mukumukami, co mieszkają nad dolnym Yukonem. O świecie szaman Skolka miał ich zabić, jednego po drugim, aby ich dusze wraz ze mną tropiły drogę przez Nieznane. Niewolnicy mieli między innymi nieść moje czołno, aż dotrzemy do wielkiej rzeki, rwącej i zdradzieckiej.

W czołnie nie było dla nich miejsca, gdy więc spełnią swe zadanie, nie powędrują dalej, lecz zostaną i po wsze czasy będą wyli w ciemnej, bezkresnej kniei.

Gdy patrzyłem na cudną ciepłą odzież, koce, zbroję i myślałem o siedmiu jeńcach na rzeź, bardzo byłem dumny ze swego pogrzebu, wiedziałem też, że niejeden mi zazdrości. A ojciec mój, Wydra, siedział pochmurny i niemy. Przez cały dzień i całą noc ludzie śpiewali żałobną pieśń i tłukli w bębny, aż wyglądało na to, że umarł tysiąc razy.

Rankiem rodzic mój wstał i zabrał głos.

– Byłem – mówił – przez wszystkie swoje dni walecznym mężem, o czym każdemu wiadomo. Lud wie również, że większym zaszczytem jest umrzeć w boju niżli na miękkich skórkach przy ognisku. Skoro Samotny Wódz tak czy siak umrzeć musi, dobrze będzie, jeśli pójdzie na Mukumuków i padnie z ich rąk. W ten sposób zdobędzie sławę i miano wodza, które towarzyszyć mu będą tam, gdzie po wsze czasy przebywają umarli, a honor jego ojca, Wydry, nie i poniesie uszczerbku.

To powiedziawszy dał rozkaz, aby zastęp zbrojny przyszykował się do drogi w dół rzeki. Kiedy natkniemy się na Mukumuków, ja, Samotny Wódz, ruszę naprzód, natrę na wroga i padnę w walce.

– Czekaj, to nie tak, o biały człowieku! – zawołał. Mutsak nie mogąc już wytrzymać.

– Szaman Skolka długo szeptał tej nocy do ucha Wydry i jego to była robota, że Samotny Wódz miał pójść na pewną śmierć. Wydra był stary, a poza Samotnym Wodzem żaden z jego synów nie ostał się przy życiu, Skolka więc zamyślał sam zagarnąć władzę nad plemieniem. Gdy ludzie przez cały dzień i całą noc okrutnie hałasowali, a Samotny Wódz wciąż żył, Skolka zaczął się obawiać, że nic z tego nie będzie. Dlatego rada Skolki, ubrana w piękne słowa o honorze i walecznych czynach, przemówiła przez usta Wydry.

– Właśnie – podchwycił Samotny Wódz. – Dobrze wiedziałem, że to sprawka Skolki, ale nie baczyłem na to, bom bardzo był chory. Ani mi się gniewać, nie chciało, ani tchu nie starczyło na mocne słowa, w ogóle nic mnie nie obchodziło, chciałem tylko umrzeć i skończyć z tym wszystkim. Tak tedy, o biały człowieku, zastęp bojowy stanął w pogotowiu. Nie było tam doświadczonych ani starszych wojowników, przebiegłych i mądrych – tylko setka młodzieży, która ledwie zakosztowała wojny. Cała wioska zebrała się na brzegu, żeby nas pożegnać. Ruszyliśmy wśród ogromnej uciechy rodaków i pieśni na moją chwałę. Nawet ty, o biały człowieku, radowałbyś się widząc młodziana ruszającego na bój, choćby pewne było, że zginie.

Odpuściliśmy więc – setka młodzieży, a Mutsak był z nami, bo jemu niedostawało lat i doświadczenia. Na rozkaz ojca moje czołno przywiązano z jednej strony do czołna Mutsaka, a z drugiej do czołna Kannakuta. Dzięki temu nie musiałem wiosłować i oszczędzałem sił, abym mimo choroby mógł dzielnie się spisać na samym końcu. Tak popłynęliśmy w dół rzeki.

Nie będę cię nudził opowiadaniem o naszej podróży, która nie była długa. Niedaleko od wioski Mukumuków natknęliśmy się na dwóch wojowników w czołnach, którzy ujrawszy nas zemknęli. Wówczas zgodnie z rozkazem ojca odwiązano moje czołno i sam jeden popłynąłem z prądem. Reszta miała zobaczyć mój zgon, wrócić i opowiedzieć, jaką śmiercią zginąłem. Mój ojciec, Wydra, i szaman Skolka postawili tę sprawę na ostrzu noża i zagrozili surową karą tym, którzy by nie wykonali ich rozkazu.

Zanurzyłem wiosło i głośno lżyłem uciekających wojowników. Słyszając moje wyzwiska odwrócili się zdęci gniewem i zobaczyli, że oddział zatrzymał się, a ja płynę sam. Gdy się znaleźli w bezpiecznej odległości,

jeden skrzył na prawo, a drugi na lewo. Czekali, żeby dobrać się do mnie z dwóch stron. I nadpłynąłem, z włócznią w rękę i pieśnią wojenną mego plemienia na ustach. Obaj rzucili włóczniami, lecz pochyliłem się, świsnęły mi nad głową i nawet mnie nie zadrasnęły. Wciąż było nas trzech. Cisnąłem więc włócznią w tego z prawej. Ugodzony w szyję runął na plecy w wodę.

Wielce się zdziwiłem, bom zabił człowieka. Zwróciłem się ku temu z lewej i tego obracałem wiosłem, aby spojrzeć prosto w oczy Śmierci. Jego druga, i ostatnia, włócznia tylko zraniła mnie w kark. Już go miałem, nie rzuciłem jednak włóczni, lecz wpakowałem mu ostrze w pierś i naciskając mocno oburącz, przebiłem go na wylot. Gdym się tak trudził, pchając ze wszech sił, tamten rąbnął mnie w głowę, raz, a potem drugi raz rękojeścią wiosła. Nawet gdy ostrze włóczni już mu wylazło z pleców, jeszcze raz trzepnął mnie wiosłem w głowę. Oślepiające światło błysnęło mi przed oczami, w głowie coś mi się obsunęło z suchym trzaskiem – otóż to, z trzaskiem. Ciężar, który tak długo gniótł mnie nad oczami, jakby ręką odjął, a obręcz, co uciskała mi czoło, pękła. Wielka uciecha mnie ogarnęła, serce śpiewało z radości.

To śmierć – pomyślałem i jeszcze przyszło mi do głowy, że śmierć jest piękna. Ujrzałem dwa puste czołna i zrozumiałem, że nie umarłem, lecz wróciłem do zdrowia. Uleczyło mnie owo walenie po głowie. Wiedziałem, że zabiłem. Zapach krwi mnie rozjuszył, wypłynąłem na środek Yukonu i śpiesznie podążyłem ku wiosce Mukumuków. Młodzieńcy za moimi plecami wydali gromki okrzyk wojenny. Obejrzałem się przez ramię. Zobaczyłem, że woda aż się okryła białą pianą pod ich wiosłami.

– Tak, woda okryła się białą pianą pod naszymi wiosłami – przytwierdził Mutsak.

– Bo pamiętaliśmy rozkaz Wydry i Skolki, że mamy na własne oczy ujrzeć, jaką śmiercią umrze Samotny Wódz. Pewien młody Mukumuk, który wybrał się sprawdzić sieci na łososie, zobaczył Samotnego Wodza i setkę wojowników, podążającą za nim. Uciekł więc czołnem prosto do wioski, aby ostrzec rodaków i postawić ich na nogi. Ale Samotny Wódz gnał za nim, a my pędziliśmy co tchu za Samotnym Wodzem, żeby zobaczyć, jaką śmiercią umrze. Gdy obaj dopadli wioski, młodzieniec wyskoczył na brzeg, a Samotny Wódz wstał w czołnie, zamachnął się potężnie i cisnął włócznią, która ugodziła tamtego powyżej biodra. Upadł na twarz.

Wtedy Samotny Wódz wyskoczył na brzeg z maczugą w ręku i ze strasznym okrzykiem wojennym na ustach, i puścił się pędem do wioski. Pierwszego spotkał Itwilię, wodza Mukumuków. Pałnął go w łeb maczugą. Itwilię zwałił się martwy na ziemię. Obawiając się, że nie zobaczymy, jaką śmiercią umrze Samotny Wódz, my też, jak nas było stu, wyskoczyliśmy na brzeg i pobiegliśmy za nim do wioski. Jedni tylko Mukumukowie nie wiedzieli, o co chodzi, i myśleli, że chcemy się z nimi bić. Zaśpiewały cięciwy ich łuków, zaczęły świstać strzały. Wówczas zapomnieliśmy, po cośmy tu przyszli, i runęliśmy na wroga z włóczniami i maczugami w ręku. A że byli niegotowi do walki, rzeź się zrobiła okrutna...

– Własnymi rękami zakatrupiłem ich szamana – obwieścił Samotny Wódz, a zasuszoną twarz ożywiło wspomnienie pamiętnego dnia.

– Zakatrupiłem go własnymi rękami, a był to większy szaman niż nasz Skolka. Ilekroć stawiałem twarzą w twarz z wrogiem, myślałem: „Teraz nadchodzi Śmierć” – i za każdym razem zabijałem wroga, a Śmierć nie nadchodziła. Widocznie dech życia silny był w moich nozdrzach i nie mogłem umrzeć...

– Biegliśmy za Samotnym Wodzem przez całą wieś i z powrotem – podjął Mutsak. – Jak stado wilków gnaliśmy jego śladem, tam i z powrotem, tędy i owędy, aż nie stało Mukumuków zdolnych do walki. Potem wzięliśmy stu jeńców, dwakroć tyle branek i niezliczoną chmarę dzieci, podpaliliśmy wszystkie chaty i wigwamy, puścili z dymem wioskę i ruszyli w drogę powrotną. Taki był koniec Mukumuków.

– Taki był koniec Mukumuków – z uniesieniem powtórzył Samotny Wódz.

– Kiedyśmy przybyli do naszej wioski, plemię zdumione było bogactwem ciężkich łupów i mnóstwem niewolników, a najwięcej się dziwiło widząc, że jeszcze żyję. Rodzic mój, Wydra, nadszedł drząc ze szczęścia, bo dowiedział się o moich czynach. Był stary, a ja byłem ostatnim z jego synów. Przyszli też wszyscy doświadczeni wojownicy, przebiegli i mądrzy, aż zebrał się cały lud. Wtedy wstałem i głosem jak grzmot pioruna nakażalem szamanowi Skolce, by wystąpił...

– Tak, o biały człowieku! – zawołał Mutsak. – Głosem jak grzmot pioruna, aż ludziom zadrżały kolana, tak się przelekleli.

– A kiedy Skolka wystąpił naprzód – ciągnął Samotny Wódz – powiedziałem, że nie chce mi się umierać. Ale nie byłoby dobrze, gdyby zawód

niał spotkać złe duchy czekające za grobem. Uważam tedy, że najlepiej będzie, jeśli dusza Skolki puści się w Nieznane, gdzie z pewnością po wszystkie czasy będzie wyła w ciemnej i bezkresnej kniei. Po tych słowach utrupiłem go tam, gdzie stał, na oczach całego ludu. Tak, ja Samotny Wódz, własnymi rękami udusiłem szamana Skolkę na oczach całego ludu. A kiedy podniosło się szemranie, krzyknąłem na całe gardło...

– Głosem jak grzmot pioruna – szybko dodał Mutsak.

– Tak, głosem jak grzmot pioruna krzyknąłem: „Ludzie, słuchajcie! Jam jest Samotny Wódz, zabójca Skolki, fałszywego szamana! Jeden spośród mężów przeszedłem przez bramę Śmierci i wróciłem. Oczy moje widziały, czego nikt nie widział, moje uszy słyszały, czego nikt nie słyszał. Większy jestem niż szaman Skolka. Potężniejszy niżli wszyscy szamani. Tak samo jestem większym wodzem od mego ojca, Wydry. Przez całe życie wojował on z Mukumukami, i patrzcie! Ja w jeden dzień skończyłem z nimi. Wystarczyła mi na to jedna chwila. Dlatego, skoro ojciec mój, Wydra, jest stary, a szaman Skolka nie żyje, ja będę wodzem i szamanem. Odtąd będę wodzem i szamanem dla ciebie, o mój ludu! A jeśli kto chciał sprzeciwić się mym słowom, niechaj ów mąż wystąpi naprzód!”

Czekałem, ale nikt się nie ważył wystąpić. Wówczas zawołałem: „Hej! Zakosztowałem krwi! Dawać teraz mięsa, bom głodny. Odkryć schowki z jedzeniem, ogołocić półki z rybami, niechaj uczta będzie wspaniała! Weselmy się, śpiewajmy, nie pogrzeb, lecz weselisko ma być. A w końcu niech przyprowadzą mi tu dziewczę imieniem Kasaan, która będzie matką dzieci Samotnego Wodza!”

Słyszając te słowa ojciec, stary człowiek, płakał jak baba i obejmował mnie za kolana. Odtąd byłem wodzem i szamanem. Otaczano mnie wielką czcią i wszyscy mężczyźni byli mi posłuszni.

– Do chwili, gdy się pojawił statek parowy – odpowiedział Mutsak.

– Tak – przyznał Samotny Wódz. – Do chwili, gdy się pojawił statek parowy.